



Ewa Graczyk

Uniwersytet Gdański

 <http://orcid.org/0000-0002-6134-2798>

Jak ogromne mroczne świerszcze O watykańskiej „dylogii” (*Spizowa brama* i *Urząd*) Tadeusza Brezy

Just Like Dark Huge Crickets

On Tadeusz Breza’s Vatican “Duology” (*Spizowa brama* and *Urząd*)

Abstract: This article focuses on Tadeusz Breza’s (1905–1970) two texts published in 1960: *Spizowa brama*, a literary reportage, and *Urząd*, a novel. The latter work is analysed in the context of the former in order to demonstrate that both texts might be treated as a partly concealed story of the undisclosed homosexual desire infiltrating the Catholic Church. Moreover, the writer’s attitude to communism is yet another issue encoded in *Urząd*.

Key words: Vatican, homosexuality, pre-emancipatory homosexual literature

Streszczenie: Artykuł poświęcony jest dwóm tekstom Tadeusza Brezy (1905–1970) opublikowanym w 1960 roku: reportażowej *Spizowej bramie* oraz powieści *Urząd*. Autorka analizuje tę ostatnią w kontekście reportażu o Watykanie, ukazując, że oba teksty można traktować jako na poły ukrytą opowieść o skrytym homoseksualnym pożądaniu przenikającym Kościół katolicki. Zasyfrowanym tematem *Urzędu* okazuje się również problem stosunku pisarza do komunizmu.

Słowa kluczowe: Watykan, homoseksualizm, homoseksualna literatura przedemancypacyjna

Wielka szkoda, że *Spiżowa brama* (1960) i *Urząd* (1960) są we współczesnej pamięci literackiej właściwie nieobecne. Czytane razem teksty te – esej, traktat, reportaż o Watykanie w przełomowych dla Polski, ale także dla Kościoła katolickiego, latach (zapiski obejmują czas od czerwca 1956 do listopada 1958) oraz pozornie szara, nieefektywna powieść – wydają się mocne i odkrywcz. W tym tekście będę się starała udowodnić, jak bardzo.

Wystąpię w trzech rolach:

1. Jako gawędziarka auto/biograficzna. Opowiem, jak odkryłam i doceniłam *Urząd* i *Spiżową bramę*.
2. Jako sygnalistka (raczej) niż rozwijająca w pełni swoje tezy interpretatorka. Wystąpię jako ktoś, kto pragnie zwrócić uwagę na ważne, a zapomniane zjawisko, jakim jest refleksja antropologiczna i sztuka pisarska Tadeusza Brezy, zachęcając innych do dalszych lektur i interpretacji.
3. Moim zamiarem jest zwrócenie uwagi – choć będzie to jedynie rzut oka – na interesującą „przyczepność”, intelektualną kombinatoryczność dylogii powieściowo-reportażowej złożonej z *Urzędu* i *Spiżowej bramy*. Zetknę watykańskie duo Brezy – prowizorycznie i eksperymentalnie – z innymi utworami i zjawiskami, pokazując, ile mogą dać te połączenia.

I

Na studiach, w latach 70., odkryłam *Adama Grywałda* (1936) i bardzo mnie ta powieść zafascynowała, nie tylko niezwykłym wątkiem homoseksualnym, ale także pełnym subtelnymi niuansami badaniem układów rodzinnych, miłosnych i towarzyskich elitarnej warszawskiej inteligencji oraz mieszczaństwa.

Dziś myślę, że wrażenie było tak ogromne, dlatego że nieświadomie zderzyłam rozmowy rodzinne z mojego domu, oparte na niezdolności do wyrażania uczuć, ze swobodnym analizowaniem nawet najdrobniejszych emocjonalnych odcieni, z rozszczepianiem ich na czworo przez bohaterów powieści Brezy. W tym kontraście było coś, co w niepowtarzalny sposób wyraził Schulz w *Genialnej epoce*: „– Widzicie – krzychałem do matki, do brata – zawsze mówiłem wam, że wszystko jest zatamowane, zamurowane nudą, niewyzwolone! A teraz patrzcie, co za wylew, co za rozkwit wszystkiego, co za błogość!”¹. Dopiero wiele lat później zrozumiałam, ile cierpienia

¹ B. SCHULZ: *Genialna epoka*. W: IDEM: *Proza*. Kraków 1964, s. 136.

i traumy kryło się za tamtym „zamurowaniem”, za niemotą mojego rodzinnego domu.

Potem były znacznie gorsze doświadczenia: z lektury *Murów Jerycha* nie pamiętam zupełnie nic (ale nie wiem, jak bym tę powieść czytała dzisiaj). Utworów socrealistycznych nie znam wcale. Kiedy pisałam swoją książkę o Gombrowiczu, natknęłam się na zbiór wspomnień i esejów *Nelly...* i znów było interesująco – zwłaszcza opowieści autora o wspólnych wygłupach z Witoldem na wakacjach w Zakopanem były ciekawe.

Czytając autobiograficzną powieść Ewy Kuryluk *Goldi* (2004), odkryłam głęboką niechęć pisarki do Brezy; autorka wspomina tam małżeństwo Elżbiety i Tadeusza jako parę bezwzględnych, interesownych snobów.

W pierwszej lekturze na studiach *Urząd* nie zrobił na mnie wielkiego wrażenia – byłam zindoktrynowana panującymi wtedy przekonaniem o naśladowczym wobec Kafki charakterze tej powieści. Z dzisiejszej perspektywy to, że Breza był pod wpływem autora *Zamku* i *Procesu*, zupełnie nie deprecjonuje go w moich oczach. *Urząd* to opowieść o Watykanie i Kościele katolickim, która przeradza się w alegorię duchowej i psychopolitycznej przemocy w niepowtarzalny, właściwy Brezie, sposób.

Dziś mogę zmienić perspektywę i powiedzieć, że Breza jako pisarz spraw cielesnych rzuca światło na twórczość Głodomora z Pragi i pozwala pytać o seksualne źródła udręki kochanka Mileny. Kiedy interpretujemy *Urząd* jako przedemancypacyjną opowieść o niewyraźnym pragnieniu, wyraźniej widzimy Kafkę jako twórcę, który oplakuje w swoich dziełach utracone homoseksualne potencje, wyraża (co najmniej) melancholię heteryka, według słynnego określenia Judith Butler.

Przełom nastąpił wiele lat później, kiedy prowadziłam seminarium magisterskie, na którym pojawiła się niezwykle zdolna studentka – Justyna Mazur. Opowiedziała nam o zjawisku kulturowym, o którym nie miałam najmniejszego pojęcia i które od razu mnie zafascynowało. Napisała na temat *slashu* bardzo interesującą pracę magisterską, obronioną na Uniwersytecie Gdańskim w 2011 roku.

Jak się od niej dowiedziałam, w internecie od lat funkcjonuje niezwykle zjawisko zwane *slashem*. Polega ono na tym, że najczęściej dziewczyny (zarówno hetero-, jak i homoseksualne), gromadzące się w grupach fanowskich, tworzą własne wersje wybranych, uznawanych za kanoniczne tekstów – książek, filmów, seriali – zawierających wątek istotnego związku bohaterów. Slashowiczki przekształcają niemilosne zazwyczaj związki w relacje erotyczne czy seksualne.

Dzięki Justynie Mazur poznałam *Doktora Who* (serial okazał się nie na moje siły, nie mogłam drzeć o wszechświat w każdym odcinku na nowo) oraz *Sherlocka* z BBC w współczesnionej wersji Stevena Moffata i Marka Gatissa – pozostaję do dzisiaj fanką trzech pierwszych sezonów.

Seminarzystka powiedziała, że slashowo przepisuje się też *Urząd Brezy* – dziś myślę, że mówiła o tym, co zrobiła sama. Wygięłam się w wielki znak zapytania, kiedy to usłyszałam, ale od razu przeczytałam powieść raz jeszcze. Natychmiast wiedziałam, o co jej chodziło: w żmudną, w wieloraki sposób męczeńską narrację, wpisany jest fascynujący queerowy wątek.

Odkryłam, że podobnie jak *Adam Grywałd* – co świetnie opisał Wojciech Śmieja² – *Urząd* również opowiada o zabitych miłościach, jest więc również opowieścią o zbrodniach. Jakiś czas później dotarłam do *Spiżowej bramy* i wszystko jeszcze raz obróciło się w mojej głowie.

II

Ponieważ czytałam watykańskie zapiski Brezy już po rewelacjach Krzyszofa Charamsy i *Sodomie* Frédérica Martela, szybko zorientowałam się, że również Breza – jako jeden z pierwszych, wprowadzi nie wprost, ale mimo to wyraziście – pisze o mono-męskim Watykanie, o Kościele katolickim jako instytucji zbudowanej auto/homofobicznie na męskich więziach homospołecznych, homoerotycznych i homoseksualnych.

Rzym, 1 października 56.

W bibliotece na Vicolo Doria natknąłem się na wielkie dzieło Montalemberta *Les Moines d'occident*. Ileż wspomnień! Biorę w rękę poszczególne tomy tych „Mnichów” i po trzydziestu pięciu latach czuję leciutki ucisk w sercu, słabe echo ucisku i łomotania pulsu, które odczuwałem tak dawno temu. W małym dworcu, w Antoninku pod Poznaniem, pochłaniałem tom po tomie, z wyłączeniem bodajże trzeciego, który wzięto mi spod ręki, gdy czuwałem przy trumnie ciotki Anny Karolowej Stablewskiej, aby wsunąć go pod poduszeczkę, na której spoczywała jej głowa widocznie za nisko. Zabrano, podłożono i zapomniano. Ale wiem, że nie znajdę czasu, żeby go tu przeczytać. A przede wszystkim

² W. ŚMIEJA: *Homoseksualność i polska nowoczesność. Szkice o teorii, historii i literaturze*. Katowice 2015, s. 176–182.

nie znajdę w sobie tych wszystkich właściwości, które sprawiały, że postacie i sprawy z Montalemberta rozpały moją wyobraźnię torturując ją i uciskając dniem i nocą. Więc po co?

Wszyscy ci anachoreci, eremici i pustelnicy, zamknięcy, którzy oddawali chwałę Bogu, obrawszy sobie byle jaki kąt i zaryglowawszy się w nim najchętniej do śmierci; stacjonariusze, którzy tylko przez całe życie stali i to najchętniej z wzniesionymi rękami; dendrycy, spędzający całe życie na drzewie; słupnicy żyjący na kolumnach, nad którymi nie budowali początkowo nawet dachu; hezatyści, dożywotni milczkowie; subdywale, obierający sobie jedno oznaczone miejsce, nie osłonięte jednak pułapem czy dachem (*subdivales* od *sub divo* – pod gołym niebem); katenaci łańcuchem przywiązani do jednego miejsca.

Ten dziwny świat pociągał mnie narkotycznie przy lekturze Montalemberta. Świat nieprzytomny, wariacki od chęci oddania się czemuś nadrzędnemu. Masochistycznie poniżający się, wdeptujący w proch, jak gdyby nadrzędność, którą ukochał, za mało była nadrzędna, za mało olbrzymia. Pamiętam wszystkie dreszcze i świdrowania w sercu na myśl o potwornych szaleństwach tych wszystkich mnichów i mniszek. O szaleństwach i okropnościach uprawianych na sobie ekstatycznie i radośnie w tych różnych pustelniach i zakątkach, później przez nich nazywanych tak czule, tak pieśczośliwie. Echo tych nazw przetrwało przez wieki. Montalembert wymienia dziesiątki nazw różnych ustroni zakonnych, średniowiecznych. A więc Bonlieu, Clair-Lieu, Joyeux-Lieu, Cher-Lieu, Chère-Ile, Vaulx-la-Douce, Les Délices, Bon-Port, Bon-Repos, Bonne-Mont, Val-Sainte, Val-Benoîte, Val-de-Paix, Val-d'Espérance, Valbonne, Valsuave, Nid d'Oiseau, Font-Douce, Voie-du-Ciel, Porte-du-Ciel, Couronne-du-Ciel, Joung-Dieu, Port-Dieu, Paix-Dieu, Clarté-Dieux, Science-de-Dieu, Champs-de-Dieu, Lieu-de-Dieu, Porte-Suave, Pré-Heureux, Pré-Bénit³.

Ta anegdota śmieszna do bólu, opowieść o niezwyklej intensywności libidinalnej, oddaje nierozzerwalne zespolenie męki i rozkoszy. Zadręczają się w opisany wyżej sposób rozmaici odmienicy i sodomici, prawie pewni, że czeka ich wieczne potępienie. Wielowiekowy splot, odsłonięty w tym zapisie, nie zaczyna się wcale w przywołanym przez lekturę chłopca światku udręczających się średniowiecznych dendrytów i katenatów i tym bardziej nie kończy w prowizorycznym punkcie dojścia, którym jest autor w dwu postaciach. To zespolenie obejmuje długi łańcuch pokoleń wychowanych najpierw

³ T. BREZA: *Spizowa brama. Notatnik rzymski*. Warszawa 1964, s. 138–140.

w chrześcijaństwie, a potem przede wszystkim w katolicyzmie. Post/chrześcijańska Europa i Ameryka zmusiły cały ludzki świat do wicia się w wielowiekowej machinie tortur, które dla wielu stało się także źródłem rozkoszy. I temu tematowi, masochistycznej ekstazie, poświęcone są, prawie zupełnie, *Urząd* i *Spiżowa brama*.

III

W wymiarze fabularnym *Urząd* to prosta historia. Po przełomie październikowym 1956 roku młody historyk przyjeżdża do Rzymu, to znaczy do Watykanu, w sprawie swojego ojca, adwokata kościelnego, którego prześladuje, uniemożliwiając mu wykonywanie zawodu, biskup z jego diecezji. Po wojnie toruński hierarcha wrócił z Auschwitz, a kilka lat później trafił do stalinowskiego więzienia. Po tych przejściach stał się skrajnie podejrzliwym człowiekiem, a swoją nieufność i niechęć skierował przeciw ojcu bohatera. Syn chce pomóc rodzicowi i w jego imieniu jedzie do Watykanu. Jednak upokorzeniu i ekonomicznej katastrofie sześćdziesięcioletniego prawnika nie udaje się w Rzymie zapobiec, co więcej, są podstawy, żeby przypuszczać, że to zabiegi bohatera ściągnęły na nieszczęsnego adwokata ostateczną klęskę.

Czytając powieść, zanurzamy się w świecie mężczyzn, poznajemy kolejnych księży, biskupów, kardynała. Także świat akolitów – kościelnych prawników, biznesmenów, różnego rodzaju drobnoustrojów pasożytujących na Kościelnym Wielorybie – to mężczyźni. Kobiety w *Urzędzie* pełnią funkcję służących, lekceważonych, ciągle wymienianych kochanek czy fasadowych, jakby „politycznych”, żon – taką małżonkę ma np. mecenas Campilli, przyjaciel ojca z dawnych czasów, zdradliwy *cicerone* narratora. Wszystkie drugo- czy trzecioplanowe bohaterki są naburmuszone i złe, wszystkie, mniej lub bardziej, przypominają pracownice baru mlecznego z *Misia*⁴.

Bohater po przyjeździe do Rzymu rusza śladami ojca, który przed wojną studiował na słynnej uczelni prawniczej zwanej „Apolinarem”. Syn odziedziczył po rodzicielu resztkę znajomych, przede wszystkim wspomnianego już adwokata Campilli oraz kilku byłych nauczycieli ojca, którzy zrobili karierę w rzymskiej kurii.

Rodzic sam się za spiżową bramą nie stawiał. Wiedział, że syn jest jego młodym sobowtórem, wiedział, że kiedy stanie przed hie-

⁴ Ewidentna mizoginia autora jest dla mnie jedyną przykrością przy lekturze *Urzędu*.

rarchami, każdy z nich pogрузy się na chwilę we wspomnieniach młodości, a on odgrywa w nich pewną rolę. Syn prawnika obchodzi wszystkich znających ojca duchownych, prosząc i wyjaśniając, styka się jednak z postaciami, które, najkrócej mówiąc, nie robią niczego w zwykły ludzki sposób. Ich czyny są wplecione w działanie watykańskiej maszyny i ta machina kształtuje je zupełnie – żeby jakaś decyzja została podjęta, różne poziomy i tryby kościelnego oprzyrządowania muszą się zestroić, co jest właściwie niemożliwe (kolumbryna jest zbyt skomplikowana), więc duchowni ciągle na coś czekają: na diagnozę sytuacji, na decyzję przełożonych, na rozważenie wszystkich politycznych i metafizycznych racji, na znak z nieba. Wsłuchują się też w głos historii, chcą wiedzieć, jaka jest prawda etapu. Wszystko to sprawia, że narrator, koleđując od księdza do biskupa, raz otrzymuje obietnicę prawie zupełnie pewną, żeby za chwilę utracić nadzieję również prawie zupełnie. I tak *da capo*, aż do wyjazdu z Rzymu z uwłaczającym dla ojca niczym.

Nieznane czytelniczkom i czytelnikom osobiste doświadczenia rozmówców narratora oraz wielowiekowa maszyna kościelna rozszczypiły jaźnie duchownych na drobne cząsteczki, tak że krążą one jak oszalałe konstelacje, czasem zbiegając się, ale najczęściej ulatując w kosmiczną pustkę.

Muszę jednak skomplikować nieco powieściowy obraz. Bardzo powściągliwy narrator porusza się w dwu środowiskach; oprócz Włochów poznaje również polskich emigrantów. Narrator zatrzymał się w hoteliku Wanda⁵, gdzie mieszkają zdeklasowani wojskowi tułacze, którzy po wojnie nie wrócili do Polski. W rozmowach z nimi narrator ujawnia kilkakrotnie, że nie jest nieprzejednanie wrogi socjalistycznej ojczyźnie, co nieustannie rozjusza gospodarzy.

Pierwszoosobowy narrator i bohater nie jest więc niezłomnym londyńczykiem, nie jest turystą zwiedzającym Rzym, nie jest włoskim czy polskim księdzem, jest łatką zza żelaznej kurtyny, której udało się przeniknąć straszliwą zaporę. Jest posłańcem, konstrukcją w rękach autora, który dzięki bladej postaci *everymana* może z ukrycia spowiadać się ze swoich trzech pasji: *hassliebe* wobec Kościoła katolickiego, zaangażowania się w komunizm oraz namiętności męskiego erosa. Tylko pierwszą kwestię i obsesję Breza wyraża mocno i bezpośrednio, pozostałe minimalnie, ale jednak, zaszyfrowuje.

⁵ Z krótkim epizodem w domu świetnego i zdradzieckiego adwokata, który, by powiedzieć to językiem Kabaretu Starszych Panów, najpierw go ugościł, potem zarznął – symbolicznie.

Sam pisarz był dwuznacznym typem, ale w swojej literaturze okazał się przenikliwy i przebiegły. Miał wady i zalety świetnego agenta wywiadu, o którym nie wiadomo, dla kogo właściwie pracuje. Mimo to w dwu utworach, o których piszę, zwłaszcza zaś w *Urzędzie*, twórca dąży do przejrzystości i światła.

To dążenie do transparentności widać już w języku, który ma cechy sprawozdania prawie urzędniczego. Wiele jest poziomów dziwnej biurokratyczności tej opowieści. Po pierwsze, jest to prawdopodobnie wpływ Kafki. Autor z Pragi też pisze jak urzędnik, którym zresztą był naprawdę⁶. Po drugie, bezimienny narrator Brezy sprawozdaje, jak poszukiwał w Watykanie pomocy w kwestiach prawnych i profesjonalnych, jak szukał wsparcia i protekcji w szeregach duchowych biurokratów. Znalazł się na królewskim dworze, którym rządzą rygorystyczne, sformalizowane od ponad półtora tysiąclecia, przepisy i procedury. Język pisarza jest więc adekwatny do poruszanych kwestii.

Watykański urząd ukazał Breza w powieści jako dziwnie osierocony. O ile w *Spiżowej bramie* papież Pius XII jest tematem i bohaterem wielu zapisków (relacje o tym, co działo się, gdy umierał i jak niewiarygodny zapanował chaos po jego śmierci, są fascynujące), o tyle w *Urzędzie* autor przemilcza postać religijnego władcy. Watykańska machina zdaje się działać bez głowy.

Po trzecie wreszcie, język powieści Brezy jawi się jako biurokratyczny, gdyż zarówno autor, jak i narrator znajdują się w kręgu rozmaitych nacisków, są pod presją sprzecznych sił. Relacje opowiadacza stają się więc suche i sprawozdawcze – narrator nieustannie kontroluje przekaz i ciągle coś przemilcza. Przemilczenia tandemu pisarza i opowiadacza mają przyczyny polityczne i seksualne.

Te pierwsze głównie wynikają z tego, że *Urząd* ukazał się w kraju, a nie za granicą, i autor musiał liczyć się z cenzurą, a zarazem wiedział, że jego utwory czytać będzie emigrancki Paryż i Londyn, nie chciał się więc – np. w oczach Jerzego Giedroycia – skompromitować (do reszty, bo i tak jako „komuch” i peerelowski dyplomata miał zszarganą opinię).

W *Urzędzie* sporo jest zatem peerelowskiej mowy ezopowej, której najciekawszy odcień określiłabym jako „zgrywanie głupa”. Autor za pośrednictwem swego enigmatycznego narratora powściągliwie, lecz właściwie jawnie, zawiadamia czytelników o prawie wszystkich czynach, wydarzeniach i akcjach, które dotyczą młodego bohatera.

⁶ O języku Kafki pisali G. DELEUZE i F. GUATTARI w swej książce: IIDEM: *Kafka. Ku literaturze mniejszej*. Przeł. A.Z. JAKSENDER, K.M. JAKSENDER. Kraków 2016.

Trzeba się jednak domyślić, jakie jest znaczenie, jaka waga tego, co się w powieści zdarza⁷.

Jakby sprawozdawcza formuła opowiadania o zdarzeniach funkcjonuje niejako bez suspensu, bez systemu zapowiedzi (zarówno tych, które się weryfikują później, jak i tych, które zwodzą odbiorców) – bez żadnych „uwaga, uwaga, zaraz będzie się działo”. Posługując się swoim narratorem, taki rodzaj narracji zastosował pisarz, prowadząc wątek miłosny. Syn swego ojca, orędownik cudzych spraw jest tak bezosobowy, tak skrupulatnie osuwa się w cień, że prawie prześlepiamy moment, gdy zaczyna mówić o sobie, gdy jednak zdradza, że pragnie i kocha⁸.

Wątek miłosny związany jest z księdzem Piolantim, którego narrator poznaje w bibliotece watykańskiej. Od pierwszej wymiany spojrzeń nieśmiały, rudy mężczyzna jest ciągle obecny w polu uwagi narratora. Na pierwszym planie toczą się zabiegi ratownicze historyka, lecz nieco dalej jest zawsze on – wygnaniec z górskiego miasteczka Orsino, ksiądz w jednej z najbiedniejszych we Włoszech parafii – i kiedy Polak jest już w strasznym stanie, Piolanti wywozi go pociągiem do miejsca, w którym sam się zatrzymał, do Lazaretto. Wprowadza bohatera do enklawy harmonii i spokoju, która jest także, jak sama nazwa wskazuje, miejscem przeklętym:

W średniowieczu, kto był podejrzany o trąd, musiał w takim zamieszkać. Na terenie Włoch i nie Włoch było sporo podobnych osiedli. Dziś to jedno zachowało starą nazwę, chociaż od setek lat nie spełniało swojej funkcji przytuliska dla trędowatych. [...] Nawet miejscowi nie pamiętali jego pochodzenia⁹.

Dalej Piolanti mówi tak:

Straszna to była zaraza ten trąd. A postępowanie, by zwalczać ją i zapobiec rozszerzeniu, też okropne. Dotkniętego nie prowadzono do kościoła. Jak nad zmarłym odprawiano nad nim egzekwie. Słuchał ich leżąc z rękami złożonymi na piersi, jak trup. Potem wstawał, otrząsał głowę i nogi z ziemi, którą je przysypano, ale

⁷ Por. P. SOBOLCZYK: *Hermetyczne pornografie Białoszewskiego*. „Teksty Drugie” 2006, nr 6, s. 165–181.

⁸ G. RITZ: *Iwaszkiewicz, Breza, Mach: niewypowiedzalne pożądanie a poetyka narracji*. W: IDEM: *Niż w labiryncie pożądania. Gender i płęć w literaturze polskiej od romantyzmu do postmodernizmu*. Tłum. B. DRONG, A. KOPACKI, M. ŁUKASIEWICZ. Warszawa 2002, s. 184–187.

⁹ T. BREZA: *Urząd*. Warszawa 1961, s. 131.

już nie wracał do swoich. Czy z miasta czy ze wsi, wykreślano go spomiędzy żyjących. Mienie jego przechodziło na spadkobierców. Nie mógł ani dziedziczyć, ani świadczyć, ani nawet przez długie wieki, póki tego nie złagodzono, testamentu sporządzić, ponieważ zaliczano go do zmarłych nagłą śmiercią. Z czasem obyczaj złagodniał i w tym, że wolno mu było opuszczać leprosarium. Ale w stroju specjalnym, żeby każdy z daleka poznawał, z kim ma do czynienia, i z kołatką, ostrzegającą zdrowych, że dotknięty zarazą się zbliża. Bano się ich niewypowiedzianie, bo w średniowieczu kary były i na takiego, który się ich rozmyślnie czy nierozmyślnie dotknął. Niekiedy nawet, zwłaszcza w czasach paniki, musiał już odtąd dzielić ich los. [...] Hospicjum trochę wewnątrz przerobione. Zatrzymują się tam księża bawiący przejazdem w Rzymie, ot, tacy jak ja¹⁰.

Syn, gdy więcej nie był już w stanie znieść, zostaje uratowany przez Piolantiego i w Lazaretto wchodzi w sanatoryjną rutynę, która uspakaja go i koi. Całymi godzinami leży na wzgórzach, na wpół letargicznie wdycha woń ziół, ziemi i krystalicznego powietrza. Popołudniami, kiedy Piolanti wraca z watykańskiej czytelnicy, po skromnym obiedzie idą obaj na górę:

Rozkładaliśmy się w cieniu. Najwygodniej nam było sadzić się nie na samym wierzchołku, lecz poniżej, tam, gdzie się rozciągały dawne ogródki trędowatych. Cały stok był takimi ogródkami kiedyś pocięty, wielkie tarasy w kształcie półek piętrzyły się tu jedne nad drugimi. Dziś część się z nich rozmyła, część zarosła. Ale zdarzały się jeszcze miejsca nienaruszone. Ostrożnie, żeby się nie pokłuc czy nie poplamieć ubrań, rozsuwaliśmy gałązki zdziczałych malin czy agrestu i wyciągaliśmy się na takim ocalonym tarasie, jak na szerokiej ławie.

– Jak tutaj ślicznie – powtarzał ksiądz.

– Prześlicznie – wtórowałem mu jak wierne echo.

[...] Po tych rozmowach schodziliśmy na kolację. Zjadaliśmy ją szybko, lecz już nie wracaliśmy na szczyt czy na nasze ulubione miejsce. Było na to za ciemno. A poza tym u samego podnóża góry, pomiędzy terenem zabudowań a tarasami, rozciągał się szeroki pas ziemi, na której w dawnych czasach grzebano trędowatych. W dzień się o tym nie myślało, lecz wieczorami wszyscy unikaliśmy wędrowek w tym kierunku. Niektórzy księża, korzystając, że robiło się chłodniej, wędrowali do miasteczka po gazety czy do sklepów, które są tu latem otwarte do późna. Inni szli zająrzeć

¹⁰ Ibidem, s. 131–132.

do szpitala sióstr św. Zbawiciela po lekarstwa czy do znajomych. My z Piolantim na spędzenie ostatnich godzin dnia obieraliśmy wewnętrzne podwórze. Stała tam pod oknami, z którego padało światło refektarza, szeroka ława. Siadałem na niej okrakiem. Toż czynił Piolanti, choć z pewnym skrupowaniem, zwłaszcza że musiał do tej pozycji zadzierać sutannę. Ale w ten sposób grało się przyjemniej, będąc zwróconym do szachownicy¹¹.

Język opowieści zdradza seksualne napięcie pomiędzy mężczyznami, a zarazem ukazuje obu jako przepelnionych pełnym spokojem. Malinowy chruśniak jakby z poezji Leśmiana, rozciągnięcie się na ławie ogródka trędowatych, zadarta sutanna księdza, siedzenie naprzeciw siebie okrakiem, twarzą w twarz, patrzenie sobie w oczy – nie może być wątpliwości, jak bardzo zmysłowe jest to spotkanie, jak bardzo się kochają.

W Lazaretto sprawy ciała i ducha nie przeciwstawiają się sobie, wprost przeciwnie, są jednym. Świat jest piękny, ludzie – udręczeni przestępcy doktrynalni (Piolanti napisał książkę, która znalazła się na kościelnym indeksie) – księża, którzy stali się dla kościoła nowymi trędowatymi, są czuli, pełni miłości bliźniego: „Wszyscy odnoszą się tutaj do siebie z wielką grzecznością. Tak na przykład ksiądz siedzący naprzeciwko, spostrzegłszy, że mnie razi słońce, opuścił saracineskę w oknie. Podziękowałem mu jak inni: pochyliłem głowę, uśmiechając się blade. Uśmiech taki jest tu w stałym obiegu”¹². Nieco dalej narrator ukazuje jeszcze jeden przykład empatii pariasów: „Księża, którzy mają wzbronione odprawianie mszy, mogą odprawiać nieszpory. Przez uprzejmość dla nich uczestniczymy w nabożeństwie, które celebrują”¹³.

Kiedy na samym końcu powieści udręczona ofiara wraca pociągami do Polski, ostatnie zdania pełne są ruzdzielca. Narrator wierny roli sprawozdawcy i pisarz utrudniający dostrzeżenie związków współ-zespół wyliczają gesty i zachowania, niczego nie komentują, niczego nie podkreślają: „Walizkę wrzucam na siatkę, sam stoję w oknie dla powietrza – i ostatecznie wyruszam w mój powrót, który mimo wszystko, tak jak sobie zaplanowałem, rozłożę na etapy. To znaczy, dziś jeszcze Orvieto, nocleg w Orsino, jutro z rana zwiedzanie tego miasta, pocztówka do Piolantiego, list do ojca, a o dwunastej – dalej”¹⁴.

¹¹ Ibidem, s. 225–229.

¹² Ibidem, s. 224.

¹³ Ibidem, s. 225.

¹⁴ Ibidem, s. 308.

Gdybym „zaslashowała”, ułożyłabym alternatywną opowieść, jak uciekają obaj do Ameryki i tam żyją prawie jawnie, prawie długo i szczęśliwie. Wiem jednak dobrze, że narrator nie porzuci ojca, a Piolanti jako święty męczennik za wiarę da się zgrillować do końca, modląc się za kościół i martwiąc o swoich parafian. Piolanti szuka w bibliotece watykańskiej argumentów przeciw sobie, a za machiną, która go torturuje. Tak samo czynili bohaterowie powieści Arthura Koestlera i George’a Orwella, w tym też duchu działali komuniści składający samokrytykę: wielu z nich zginęło w sowieckich łągrach.

IV

Urząd to powieść o nieprzejrzystości/niewypowiedzeniu/ciemności oraz o miłości dręczonej, deformowanej i kształtowanej w trybach maszyny zaciemniającej i szyfrującej, która jest też skomplikowanym narzędziem tortur. Tę watykańską Enigmę, kościelną Żelazną Dziewicę – a zarazem Lala Erotycznego – można nazwać trójkątem watykańsko-bermudzkim: obiekty, uczucia i pragnienia, które pojawiają się na obszarze zwielokrotnionej, niezwykle gęstej nieprzejrzystości, stają się niewyobrażalnie pokraczne.

Zarówno autor, jak i Watykan chcą pozostawać w ukryciu, pragną chronić sekrety swoich pożądań. A jednak pisarz wywierca w smolistym świecie kościelnym i we własnym, skądinąd dość wygodnym, położeniu świetlistą dziurę, którą stanowi epizod w Lazaretto.

Głęboki sens tego, co się tam wydarza, ujawnia ostatnia scena pobytu narratora w enklawie. Wieczorem obaj bohaterowie uczestniczą w umierającym, zarazem przed-, jak i intensywnie chrześcijańskim rytuale. Na samym początku ksiądz wyjaśnia przyjacielowi, że nie musi się niepokoić, gdyż nie spotka nieznośnych dla siebie Polaków z pensjonatu Wanda:

– Bo nikt nie przychodzi. Nie przychodzą nawet siostry ze szpitala. A to dlatego, że z uroczystości dawno wywietrzał wszelki sens religijny. Został zabobon. Rzym powoli, powoli kasuje wszystkie tego rodzaju nieco wynaturzone rytuały. Nasz się jeszcze ostał, na skutek uporu prostych ludzi, którzy żyją w okolicznych parafiach. Zaręczam panu, że oprócz nich i nas nikogo nie będzie.

Miał rację. Nas posuwało się ścieżkami ku górze najwyżej kilkanaście osób. Księża, z którymi jadałem posiłki, posługa kuchenna, kościelny, ministranci z naszego kościoła – oto wszystko. Co do procesji, też nie były one w żadnym razie tłumne, przynajmniej sądząc po śpiewie. Kiedy już zgromadziły się wszystkie,

zabrzmiał on silniej, bo śpiewano teraz na jedną nutę, nutę antyfony żałobnej przy składaniu zwłok do grobu:

– „Chorus angelorum vos suscipiat et cum Lazaro quondam paupere aeternam habeatis requiem”.

– „Oby was – zaczął szeptać ksiądz Piolanti – chóry anielskie przyjęły i oby was czekało, jako Łazarza, biednego tej ziemi, wieczne odpoczywanie...”.

– Ja rozumiem – przerwałem mu. – Znam łacinę.

W świetle kagańców, latarni albo małych oliwnych lampek, jak nagrobne, migotały nad nami święte obrazy albo figury, z którymi procesje przysły. Pochodziły z okolicznych parafialnych kościołów i sanktuariów. Przedstawiwały patronów albo patronki, pod których wezwaniem je zbudowano. Niosący pochylali lekko święte wizerunki ku nam, znajdującym się znacznie niżej, tak abyśmy je mogli lepiej widzieć, a zapewne, aby wyobrażeni na nich święci mogli łatwiej zwrócić w naszą stronę miłosierne spojrzenie. Ku nam, którzy zgodnie z rytuałem i najpewniej nie w celach ostrzegawczych, ale z chęci ściągnięcia na siebie uwagi tych świętych, nieprzerwanie, jak ogromne mroczne świerszcze, klekotaliśmy w ciemności naszymi drewniakami¹⁵.

A co by się stało, pyta Tadeusz Breza, gdybyśmy wytrwali przy ludzkim statusie ogromnych, mrocznych świerszczy, gdybyśmy klekotali drewniakami zaciekle, nie tyle żeby ostrzegać przed sobą, ile żeby skupić na sobie pełną miłości uwagę bliźnich? A gdyby ta pozbawiona lęku miłość istniała naprawdę?

„Przychodziły dziwne maskary, twory-pytania, twory-propozycje i musiałem krzyczyć i odpędzać je rękami”¹⁶. To słowa dziecięcego narratora z *Genialnej epoki*, a Nałkowska w swoim dzienniku zapisuje inne wypowiedzi dorosłego już autora *Księgi*:

[...] obdarza mnie listownie nieprzebrany bogactwem nie tylko dziwacznej „adoracji”, ale twórczych, głębokich i cienkich myśli. Oto jeszcze jedno dobro, które przyjąłem oburącz, wartość realizująca się na drodze od człowieka do człowieka. Takie słowa: „Gdy Bóg powiedział Ciebie, powiedział i mnie w Tobie. Dlaczego powiedziałem się jeszcze raz, dlaczego popełniłem ten pleonazm?” albo: „Jak w ogóle mam rozumieć fakt, że jesteś kobietą? Co chciałabyś przez to powiedzieć?”¹⁷.

¹⁵ Ibidem, s. 239–240.

¹⁶ B. SCHULZ: *Genialna epoka...*, s. 138.

¹⁷ To ważne świadectwo Zofii Nałkowskiej przytaczam za: B. SCHULZ: *Księga listów*. Oprac. J. FICOWSKI. Kraków 1975, s. 152.

Autor *Spizowej bramy*, gdy przekracza na chwilę spirale udręki, snuje rozważania, na swój sposób bliskie myślom Brunona Schulza: pozbawione lęku ciała, związki, pożądania i miłości, mają sens, okazać się mogą słowami jakiejś innej mowy.

Bibliografia

- BREZA T.: *Spizowa brama. Notatnik rzymski*. Warszawa 1964.
BREZA T.: *Urząd*. Warszawa 1961.
DELEUZE G., GUATTARI F.: *Kafka. Ku literaturze mniejszej*. Przeł. A.Z. JAKSENDER, K.M. JAKSENDER. Kraków 2016.
RITZ G.: *Niż w labiryncie pożądania. Gender i płeć w literaturze polskiej od romantyzmu do postmodernizmu*. Tłum. B. DRONG, A. KOPACKI, M. ŁUKASIEWICZ. Warszawa 2002.
SCHULZ B.: *Genialna epoka*. W: IDEM: *Proza*. Kraków 1964.
SCHULZ B.: *Księga listów*. Oprac. J. FICOWSKI. Kraków 1975.
SOBOLCZYK P.: *Hermetyczne pornografie Białoszewskiego*. „Teksty Drugie” 2006, nr 6, s. 165–181.
ŚMIEJA W.: *Homoseksualność i polska nowoczesność. Szkice o teorii, historii i literaturze*. Katowice 2015.

Ewa Graczyk – prof. dr hab.; literaturoznawczyni feministyczna i działaczka społeczna. Pracuje na Uniwersytecie Gdańskim. Autorka książek: *Ćma. O Stanisławie Przybyszewskiej* (Warszawa 1994), *O Gombrowiczu, Kunderze, Grassie i innych ważnych sprawach. Eseje* (Gdańsk 1994), *Przed wybuchem wstrząsnać. O twórczości Gombrowicza w okresie międzywojennym* (Gdańsk 2004, książka nominowana do nagrody NIKE) oraz *Od Żmichowskiej do Mastłowskiej. O piarstwie w nadwiślańskim kraju* (Gdańsk 2013). Współredaktorka kilku monografii zbiorowych, m.in. tomu *Siostry i ich Kopciuszki* (Gdynia 2002) oraz *Białe maski/szare twarze. Performatywność w perspektywie postzależnościowej* (Kraków 2015). Redaktorka naczelna pisma humanistycznego UG „Jednak Książki”. W 2020 roku współredagowała numer tego pisma wraz z dr Małgorzatą Zawadzką zatytułowany *Artyści działają, działaczki tworzą*. Działaczka trójmiejskich grup kobiecych, członkini Tolerado Stowarzyszenie na rzecz osób LGBT, współorganizatorka trójmiejskich MANIF od początku ich istnienia.

e-mail: ewa.graczyk@ug.edu.pl